

Jest po siedemdziesiątce, a głowa wciąż w chmurach. Wielkie poczucie humoru, blask w oczach, niezwykła energia. Kiedy w krakowskiej kawiarni Noworolski opowiada o zabawach z wnuczką, ludzie przy sąsiednich stolikach nie mogą oderwać od niej oczu, a słuchając jej błyskotliwych historii, płaczą ze śmiechu. **Jedna z największych polskich aktorek.** Tylko „Gali” opowiedziała o tym, jak uczyła się sztuki życia.

(ROZMAWIA BEATA NOWICKA)

Anna Polony

Jak ja się bawiłam...!

Kobieto! Puchu marny! Ty wietrzna istoto! Postaci twojej zazdroszą anieli, A duszę gorszą masz, gorszą niżeli!...”. To oczywiście monolog Gustawa z „Dziadów”, ale dlaczego teraz go mówię?

Bo chciałam porozmawiać o kobiecości w czasach, kiedy Pani debiutowała w dorosłym życiu. Czy ktoś Panią w to życie wprowadzał?

W dorosłe życie, proszę pani, to ja sama weszłam, bezczelnie, dość wcześnie, mając lat niespełna 18, właściwie będąc studentką szkoły teatralnej. Po prostu starsi koledzy wprowadzili mnie w temat i dość szybko nauczyli tego, czym jest związek mężczyzny z kobietą. A reszty, to znaczy, jak postępować z ludźmi, jak się ustawić w świecie, w zawodzie, tego sukcesywnie sama się uczyłam. Ale to wszystko odbywało się legato, powoli. Oczywiście pewne prawdy, wartości wpajała mi mama.

Jakie na przykład?

Uczciwość, prawdomówność, pracowitość, czystość – duszy przede wszystkim, ale ciała również (śmiech). I więzi rodzinne, to znaczy lojalność wobec najbliższych, to zawsze było najważniejsze. Ale także tolerancja, bo mama sama była tolerancyjna. Dziwiła się pewnym zjawiskom, nie wszystko rozumiała, kiwała głową, ale akceptowała, choć kilka razy dostałam od niej lanie. Ostatnie, kiedy miałam już chyba 17 lat i wróciłam po północy z jakiegoś spektaklu z Piwnicy pod Baranami. Mama była starej daty, kiedy się urodziłam miała 46 lat, dlatego w moim życiu bardzo ważne były dwie starsze siostry.

Zwłaszcza młodszą z nich, która wozila Panią w wózku?

(śmiech) Tak, skąd pani wie? Miała wtedy 17 lat, więc moja mama pakowała jej to dziecko, czyli mnie, do wózek, bo sama, pani pod pięćdziesiątkę, wstydziła się pokazywać na ulicy z niemowlakiem. Potem oczywiście co poniektórzy znajomi uważali, że ja jestem nieślubnym dzieckiem siostry,

ale jakoś to przeżyła, biedactwo. Kiedy dorosłam, to z kolei ja bardzo długo bawiłam jej synka, byłam dla niego i siostrą, i przyjaciółką, i ciotką, i koleżanką, bo też poszedł w aktory. Na tej zasadzie ta rodzina więc jest u nas bardzo silna. Obie siostry były też ważne w tym moim wchodzeniu w dorosłość, bo ja przez lata byłam świadkiem ich małżeństw, mogłam je z bliska obserwować. Obydwa zresztą były niezbyt szczęśliwe.

Przypadek?

Że nieszczęśliwe? Pyta pani, czy to była czyjaś wina? Wina losu w jednym przypadku, w drugim – charakteru i także losu, czyli wojny. Wszyscy zostali przez tę wojnę mniej lub bardziej zranieni, pokaleczeni. Starsza siostra wyszła za mąż tuż przed wojną. Kiedy wybuchła, natychmiast wzięli jej męża do Karpackiej Dywizji, gdzie walczył dopóki można było, a potem uciekł przez Rumunię, Pireneje aż do Hiszpanii i stamtąd jednym z ostatnich okrętów trafił do Anglii. Był meteorologiem, wybitnym zresztą, w Anglii służył w lotnictwie, w stopniu kapitana.

Piękny życiorys.

Tak, ale wojna go wykończyła. Wrócił do Polski jednym z ostatnich transportów, choć koledzy mu odradzali, ale przecież tu miał całą rodzinę. Moja siostra straszliwie go kochała, bo to był w głębi duszy wspólny facet. Założył gazetę „Poznaj świat” i sieć stacji meteorologicznych. Zmarł na serce w wieku 42 lat. Dziś bez problemu lekarze by go uratowali. Małżeństwo drugiej siostry było nieszczęśliwe głównie przez charakter małżonka, który nie był najbardziej wiernym mężczyzną na ziemi, a jednak do końca ze sobą byli. Ona mu wybaczała, on się korzył i zawsze wracał do domu.

Pani wkroczyła w to swoje życie z takim bagażem.

Pamiętam tylko, jak moja siostra mówiła do mojego byłego męża, a siedzieliśmy wtedy w Noworolu, na Plantach, na rogu Sławkowskiej: „Słuchaj, Marek, nie masz prawa zrobić Hance krzywdy, pamiętaj o tym”. ▷

Tłumaczyła mu, że ona wie, co to jest krzywda, wie, jak mężczyzna zdradza, jak to kobietę boli i że ona mu na to nie pozwala. Mój mąż oczywiście przysięgał, że nigdy krzywdy mi nie zrobi. To było jeszcze przed naszym ślubem. A potem zrobił (śmiech).

Co Pani zawdzięcza mężczyznom?

Wielu wiele (śmiech). W zawodowym poczawszy od moich dyrektorów: Dąbrowskiego, Hübnera, Jana Pawła Gawlika, który bardzo dbał o to, żebym dużo grała i miała odpowiednie role. Muszę to przyznać, panie dyrektorze! I reżyserom oczywiście, a przede wszystkim Konradowi Swinarskiemu, który otworzył świat przede mną. No, może nie tyle otworzył, co pozwolił mi go zrozumieć, odkrył przede mną człowieka, świat jego dążeń, pragnień, instynktu, pozwolił zrozumieć mechanizm ludzkiego działania. Słuchałam go uważnie, kiedy chodziliśmy godzinami po Krakowie, bo uczył mnie też tego miasta. Ciągłe wracaliśmy na ulicę Kanoniczą, na Wawel. Uczył mnie urody świata między próbami w teatrze. Miał do mnie specjalny, ciepły stosunek. Ja się zawsze śmieję, że to był mój Pigmalion, a ja jestem jego tworem, dzieckiem, stworzoną przez niego istotą, może nie całkiem, bo tata z mamą mnie poczuli, ale on ulepił moją psychikę. I moje aktorstwo. Jako kobietę uczył mnie też godności, bo ja się czasem zapomniałam. W tej swojej drapieżności potrafiłam za dużo powrzaskiwać, stawiać się. On mnie uczył, żeby powściągać swoje emocje, żeby się nie otwierać niepotrzebnie. Czasami mówił: „Hanka, nie gadaj tyle. Zagraj to w odpowiedniej roli, w odpowiednim momencie”.

Za które swoje cechy dostawała Pani największe baty?

Za uczciwość na pewno. Za prawdopodobność też, aż się w końcu nauczyłam, że prawda jest wtedy dobra, kiedy przynosi korzyść obydwu stronom. Po co ranić prawdą? Po co ja mam przychodzić na premierę do moich kolegów i mówić: „Jezus, jakie do dupy przedstawienie zrobiliście!?” Bo na początku uważałam, że tak trzeba: oceniać i walić prawdę: „Cholera, jakie to jest niedobre, jakie to jest do kitu”. Efekt był taki, że im sprawiałam tylko przykrość, a sama narażałam się na zjadliwe uwagi, że Polony to zawsze coś chlupnie. Na własnej skórze przekonałam się, że tak nie wolno, jak również nie wolno rozpowiadać: „Twój mąż cię zdradza”, albo: „Twoja żona ma kochanka”. Takie słowa mogą



Anna Polony

Urodziła się w Krakowie w 1939 roku i całe życie związała z tym miastem. Ukończyła Wydział Aktorski i Reżyserii Dramatu krakowskiej PWST. W tym roku świętuje 50-lecie pracy zawodowej. Legenda polskiego teatru. W Teatrze Polonia można ją oglądać w „Panu Jowialskim”, którego wyreżyserowała z Józefem Opalskim. 26 listopada premiera „Wizyty starszej pani” w reż. M. Plekorz w Teatrze Śląskim w Katowicach.

wielu osobom zrobić straszną krzywdę. Z wiekiem rozumiałam, że pewne prawdy są bardzo bolesne dla tych, których dotyczą, więc teraz uważam, że czasem należy się powstrzymać. Bo po cholere o tym gadać?!

Dla Pani liczyła się tylko sztuka, czy może ta hedonistyczna strona życia też była ważna?

Zawsze smakowałam życie, a im jestem starsza, im więcej odczuwam dolegliwości, tym dotkliwiej cierpię, że czegoś już nie mogę, już mi nie wolno. Uwielbiam ciastka, ale nie powinnam ich jeść, bo zawsze mi szkoda. Jednak nie potrafię się powstrzymać. To jest mój dramat. Wie pani, im mniej przyjemności w życiu, tym bardziej zwraca się na nie uwagę. Na jedzenie, na oglądanie miłych filmów, na patrzenie na pięknych ludzi, ładne ubrania, na to, żeby było ciepło w domu, żeby słońko zaświeciło, coraz częściej człowiek ucieka do tych zewnętrznych przyjemności, kiedy nie ma siły na te głę-

bokie. Az tych głębokich uwielbiam kontakty z cudownymi ludźmi, muzykę klasyczną, dobrą literaturę. Zawsze strasznie dużo czytałam, fascynujący byli dla mnie np. Mann, Tolstoj, Dostojewski, Prus i Proust, Balzac, Zola, Maupassant, ale dzisiaj wolę literaturę faktu, historie oparte na autentycznych postaciach. Często oglądałam w domu na telewizorze nagrania oper czy koncertów klasycznych, bo coraz gorzej znoszę takie ludzkie spędy na żywo. Ale kiedyś... och, bawić się lubiłam bardzo (śmiech).

Pani? Naprawdę?

Ja?! O Boże, jak ja się uwielbiałam bawić, uwielbiałam tańczyć, wyglupiać się, szaleć, napić się wódeczki... A co, nie wyglądałam na taką osobę? (śmiech). Pani mnie mało zna! Cóż to były za wspaniałe, niezapomniane wieczory w SPATIF-ie, podlane oczywiście alkoholem, ale nie aż tak, żebyśmy tracili przytomność i spali pod stołem. Myśmy potrafili świetnie ze sobą rozmawiać, twórczo się kłócić, śpiewać, świat czynić bardziej kolorowym, żeby znieść tę szarość na oko.

A dziś?

Dziś nawet z moimi studentami potrafię się świetnie bawić. A jak ja się znakomicie bawię z moją siostrzaną prawniczką, gdyby pani nas widziała... Wczoraj na przykład siedzieliśmy w samochodzie i bawiliśmy się lalkami.

Uwielbiałam bawić się, tańczyć, wygłupiać, szaleć, napić się wódeczki...

Ja miałam w ręku lalkę, Majka tylko swój paluszek, a na paluszku kapelusik zdjęty z pet shopa. Ona ma zbiór tych pet shopów i co ciotkę spotka, to: „Ciotka, kup pet shopa”. No więc włożyła kapelusik na ten swój małeńki paluszek i umawiamy się na herbatkę: „A na jakiej ulicy pani mieszka, bo ja na Mysiej?”. „A ja rnięskam na Motylkowej” – sepleni słodko Majka. „To co, bierzemy taksówkę czy psejdziemy się piechotą? A co pani dzisiaj kupiła na targu, proszę pani?”. „Ja kupiłam cztery jabłka”. „O, to nawet dużo, bo ja kupiłam cy pomidory...” (śmiej). Kiedy była malutka, kochała stawać w swoim łóżeczku ze szczebelkami, przebierała się w długą sukienkę i „robiła za księżniczkę”.

A Pani profesor oczywiście za księcia?

Ale ciągle się zapominałam, przychodziłam w spódnicy, a Majka pytała: „I czemu włożyłaś spódnicę, a nie spodnie?! No czemu mas spódnicę?!”. No to co miałam zrobić?! Zdejmowałam tę spódnicę i zostawałam w rajtkach (śmiej), brałam miecz z gąbki i musiałam zabijać lwy, tygrysy, węże, smoki. Wszystko to, co przeszkadzało w zdobyciu tej góry, na której ona była uwięziona w więzy, czyli w swoim łóżeczku. Maluch zagrzewał mnie do boju i krzyczał: „A tu jeszcze idźcie wąż, zabij węża! A tu jeszcze jeden smok, popac, popac, zabij smoka”. I ja musiałam zabijać te smoki, węże i jeszcze udawać, że jadę na koniu! Pata taj, pata taj przez rzekę, przez góry, przez lasy... A w lesie znowu jakieś straszne zwierzęta na mnie napadały i musiałam z nimi walczyć. Pata taj!

Jaka była nagroda za tę walkę?

Miłość. Dziecko mi mówi: „Kocham cię”. Nikt nigdy mi tak nie mówił (śmiej). No, może troszkę przesadzam, może są tacy, co mówili i mówią: „Kocham”. Ale nie zawsze ci, od których chciałabym to usłyszeć (śmiej). Teraz to dziecko mówi mi: „Kocham cię, ja cię tak kocham”, i to jest moje wielkie szczęście! Ale kiedy ja do niej mówię: „Majka, ja ciebie też tak strasznie kocham! Żebyś ty wiedziała, jak ja cię kocham...!”, to ona na to: „Jus mi to mówiłaś yyyyyyye razy!”. To jest cud. Ona jest taka słiczna, pełna życia. Teraz ma sześć lat i chodzi do zerówki. Czasami powie coś takiego, że można spaść z krzesła albo zemdleć. Dzisiaj mi opowiedziała dowcip: „Pysła pani do lekaza. Pani doktor, bo mnie się ciągle wydaje, że ja jestem truskawka. No to niech se pani kupi litr śmietany” (śmiej). Jest radością mojego życia, aczkolwiek mam jeszcze radości związane z moim zawodem, bo nadal go lubię, choć czasami mi sprawia przykrość.

Co Pani profesor ma na myśli?

Tyle lat żyję, tyle lat gram, ale nie nauczyłam się dystansu do słowa pisanego i nienawidzę złych recenzji. Po moim Jowialskim („Pan Jowialski” Aleksandra Fredry, Teatr Polonia, reż. Józef Opalski i Anna Polony, która zagrała również panią Jowialską – przyp. red.) zdarzyło mi się ich dość sporo. Warszawska krytyka uzna-

ła, że przerysowałam rolę, ja uważam, że oni są pozbawieni właściwej oceny i właściwego gustu, więc „cześć wam panowie, magnaci”.

Za to publiczność Panią uwielbia. Jesteśmy w tej kawiami godzinę i już cztery osoby złożyły Pani hold za całokształt, ale również za „Jowialskiego”. Wszyscy widzieli to przedstawienie i byli Panią zachwyceni. Nie słodzę, to są fakty.

(śmiej) Tym mnie przekonali koledzy w teatrze, kiedy się obraziłam na warszawską krytykę i już nie chciałam wracać i grać. Mówili: „Publiczność ten spektakl kocha. Zostań”. Dałam się namówić i dalej tam jeżdżę. Śmiesznie w ogóle się to moje życie zawodowe potoczyło. Całe spędziłam w Krakowie, a teraz, na stare lata, zafundowałam sobie teatr objazdowy. Jak nie Warszawa to Katowice, gdzie gram u Magdy Piekorz (Teatr Śląski Katowice, „Wizyta starszej pani” F. Dürrenmatta, reż. M. Piekorz – przyp. red.). Premiera pod koniec listopada. Świetna rola, wspaniała sztuka, fajny zespół i cóż to za uroczy człowiek z tej Magdy. Pila, wierci brzuch, świderek, bo upiera się, żeby było tak, jak ona chce, ale zgadzam się na to dlatego, że jak dotąd, w wielu wypadkach, ona ma pomysł i ma rację.

Jest Pani jeszcze pazerna na życie?

Nie. Coraz częściej myślę o odejściu, że trzeba się na to przygotować. Ja tylko strasznie boję się cierpienia. Życie jest fantastyczne, jak człowiek jest młody, a jak mówiła Bette Davis: „Po pięćdziesiątce zaczyna się kwaśno”. Po sześćdziesiątce człowiek jest coraz gorszy we wszystkim i to życie przestaje być zabawne, a po siedemdziesiątce jest już tylko katastrofa i lepiej o tym nie mówić (śmiej). Ja jestem po siedemdziesiątce, ale na szczęście zachowałam poczucie humoru. Oczywiście denerwuje mnie okropnie moje niedołęstwo, choroby, coraz słabszy organizm, coraz gorsza percepcja. Wkurza mnie to i nie podoba mi się wcale! Uważam, że starość jest po to, żeby lżej odchodziło się z tego świata, żeby człowiek tak strasznie nie żałował, że ten koniec się zbliża. Przynajmniej ja tak sobie to tłumaczę. Wokół mnie coraz mniej bliskich ludzi, poumierali, poodchodzili, a z młodymi już nie ma takiego porozumienia. Jak w piosence: „Coraz więcej ludzi, coraz mniej nas”.